

– Pojara! – krzyczy Saski.

Zdażyłem jedynie wyciągnąć szluga z paczki. Zapalam, biorę kilka buchów i podaję mu do ręki.

– Daj jeszcze Ahmedowi.

Saski bierze trzy i podaje dalej. Ahmed bierze trzy i pet wraca do mnie. Biorę trzy machy, i ślę go z powrotem do Saskiego.

– Masz na jakiś bidon? – pyta Ahmed.

– Ja pusty.

Saski zagląda do kieszeni. Liczy to, co z niej wyjął.

– Tu są dwie butelki – wskazuje na murek pod klatką. – Czyli mamy na czteropak.

Saski zawsze ma na czteropak. Nawet jak nie ma. Ahmed też, ale nie zawsze pije, a jak pije, to prze-ważnie nie ma, bo już wypił.

Saski zabiera kule ortopedyczne spod murka, co oznacza, że idziemy do żabki.

– W końcu żeś się uruchomił. – mówi do Ahmeda.

Ahmed kiwa głową na tak, albo na nie, albo na tak i na nie jednocześnie.

– Ty, no ile można?

Ahmed pije cyklami. Dużo i długo, albo w ogóle i też długo. Jego dni dzielą się na pijące i nie pi-jące. Jeśli nie pije, nie bajerzy, w ogóle nikt nie wie gdzie wtedy jest. Jeśli pije, jest z nami.

– Ty, kurwa, Kwadratowy – krzyczy Ahmed do wlekącego się za nami Saskiego – napierdalał tymi kulami, jakbym tyle co ty chodził z dwiema nogami w zapasie to bym zapierdalał jak Indian.

Saski ma śruby w nodze. Najebany skakał przez płot na szkole, ale zapomniał wybić się od nóg, wy-bił jedynie tułów a noga została w szparze między przesłami. Grawitacja, czy coś. Jego ciężar zmiażdżył mu nogę, blokada w płocie dodatkowo ją wykręciła. A ksywa Kwadratowy wzięła się od wielkości jego łba. W ogóle Saski jest człowiekiem miliona ksyw – jak go czasem nazywamy. Saski, Sas, Wiewiór, Działo, Łeb, Kwadratowy, Kwadrado, Odyniec, to wszystko on sam jeden – Saski Sas.

– Zaraz kurwa sam pójdziesz. – odpowiada cały spocony.

Śmiejemy się z niego, jeszcze bardziej go to wkurwia, ale po chwili, gdy do nas dochodzi, staje się łagodny, i wyciąga z kieszeni drobne na czteropak. Wchodzi do środka z Ahmedem, Sas czeka na zew-nątrz.

Wrzucam dwie butelki do kisty.

– Szefowa! – wołam kasjerkę. – Tutaj dwie buteleczki na wymianę będą.

Szefowa kiwa głową na tak, albo na nie, albo na to i na to. Ahmed bierze z lodówki żuberka, a ja stoję w kolejce.

– Szefowa, wyliczone. – kładzie na ladzie pieniądze, pomijając ludzi. Wychodzimy.

Sas się uśmiecha.

– Co kurwa rzysz? Bidon cię rozśmiesza? Widok czteropaku sprawia, że ci się jebią styki?

– Ta, ta, ta, kurwa, trzeba się napić.

Saski, gdy ma wlane, powtarza pierwsze słowo. Albo pierwszą literę słowa. Ogólnie ma coś pojebane z aparatem mowy, nie idzie mu uzewnętrznianie. Gdybym pił z nim po raz pierwszy, posadziłbym go o rozmyślanie nad sensem istnienia, o rozgryzanie dwoistości, jąkanie jako dowód próby wyrywania się innym światom, znając go jednak dłużej, wiadomo, że ma coś nie tak z ekspresją. Mówi odwrotnie do sensu słów, jakby rozmawiał z tobą od tyłu, o tym, co wydarzyło się wkrótce. Skomplikowane nieco, na pierwszy i któryś tam raz. Później już bez znaczenia.

Idziemy na alejkę. Sprawdzona miejscowa pomiędzy szkołą a przedszkolem, skąd widać dwie ulice – po prawej i lewej, którymi mogą wjechać psy. Nim jednak do nas dotrą, zdążymy skitrac browar.

Niektóre historie związane z alejką stały się kultowe. Co jakiś czas, gdy nic się nie dzieje, przypominamy sobie ulubione skrawki dni poprzednich, w zasadzie coraz częściej przywołujemy przeminie. Trochę nam się płyta zdarła, ale większość ma to w kutasie, dobrze się pośmiać do piwa, nikomu nie przeszkadza, że śmialiśmy się z tego wczoraj. Gdy zdaję sobie sprawę, że historia jest przeruchana od góry do dołu, przypominam sobie opowieść ojca, który w wojsku, noc w noc, opowiadał jeden i ten sam kawał, w zasadzie jedyny, który znał, a cała reszta kompanii śmiała się jakby słyszała go po raz pierwszy. W bajerze ważna jest ekspresja, umiejętność przekazywania tej samej historii w sposób odmienny, gestykulacja. Tutaj Ahmed jest zdecydowanie górą. Saskiemu, jak mówiłem wcześniej, nie idzie za dobrze. Ja raczej jestem neutralny. Mówię, albo nie, coś palnę, albo i nie, czasem powtórzę, podgrzeję jakąś opowieść, albo nie. Różnie. Dziś Ahmed opowiada o Tomkersie i Buce. Jak siedzieli nagrzybieni na alejce i wjechali kryminalni.

– Ty, czaisz, siedzimy normalnie, kolorki nam wchodzą, zaczynamy puchnąć, brzuch nam wydyma i skurwiamy, a tu nagle światła, znikąd, kurwa z krzaków wybiegli jak komandos, na linach z nieba nas przyjebali, a na ławce pojar. Świecą latarkami po gałach, wiadomo, dowodzik, dokumenty, i co robi Tomkers... rozmawia z psem i powoli, dupą zsuwa ten pojar między szczelinę w ławce. Podnosimy się, wyciągamy wszystko z kieszeni, ten pies świeci latarką po ławce i nie ma, patrzę na Bukę, potem na Tomkera, a ten ryje, czarodziej pierdolony. Czaisz? Dupą zsunął pojar na ziemię. Buka wyciąga wszystko z kieszeni na ławkę i nic. Ja wyciągam, ty, i zapomniałem że mam lolka w kieszeni, i ten lolek wypada wprost pod nogi tego wása. O, a co to? Podnosi wacha, i mówi, no to panowie zapraszam z nami. My że nie, żeby to pierdolił, i skurwiamy zagrzybieni, wiesz jak. Od kogo to macie, pyta. Szybka kalkulacja w głowie i mu mówię, od Cześka. Jakiego Cześka? Z osiedla N, i ten wás dopierdala pytaniem, a Czesiek ma psa? Patrzymy na siebie z Tomkersem, no ma. Jakiego, pyta ten wás, odpowiadam boksera, a w tym

samym momencie Tomkers mówi owczarka niemieckiego. No i chuj, po zabawie.

– Zawijają nas do suki, a Tomkers na odchodne, boże, co za różnica, pies to pies.

Pośmialiśmy się. Chwila przerwy. Robię łyka, popiół strzepuję na ziemi. Siadam na ławce obok Sasa, Ahmed stoi przed nami.

– Ju ju ju jutro zbiórka dla Buki, rakietę robimy. – rzuca Sas.

I przypomina o wszystkim.

– Ja nie mam. – odpowiadam.

Ahmed się nie odzywa.

– Po po po dwie paki żeby miał na machorkę i dzwonienie.

– Ja nie mam.

Ahmed nic nie mówi.

Sas wyciąga telefon i obdzwaniania resztę ekipy.

– Słyszałeś jak Bukę powineli? – pytam Ahmeda, i nie czekając na odpowiedź, odpowiadam chyba sam sobie. – Normalnie, szedł najebany pod Azetem, suka podjechała, pan idzie z nami i tyle go widzieli. Z Tomkersem był, dojebali go za to włamanie z Filetem i grzywny, których nie odrobił. Pewnie będzie miał ulonga.

Ahmed dalej nic nie mówi. Wygląda jakby został w opowieści. Trudno powiedzieć o nostalgii, trudno powiedzieć o czymkolwiek gdy ziomki idą gibać na dłużej.

Telefon dzwoni. Mój. Sala.

Pyta czy przyjdę.

*

Męcę się z kluczem. W prawo tak samo jak w lewo. Pusto. Drzwi dalej zamknięte, a zamek kręci się w kółko. Obracam się i zaczynam schodzić po schodach. Ciekawe czy rozpoznaje moje kroki? Czy rozpoznaje kroki innych? Jestem na półpiętrze, słychać szcęk kluczy, po sekundzie drzwi się otwierają. Sala. Stoi, czeka.

– Nie otworzysz z tej strony, gdy ja z tamtej mam klucz włożony.

Wchodzę z powrotem. Odbiera ode mnie plecak i pyta, czy jestem głodny. Nic nie odpowiadam. Idę prosto do pokoju nie ściągając butów.

– Napijesz się czegoś?

Biorę łyka z flaszki ze stołu. Płacz. Dziecko płacze w sypialni. Patrzę na Salę, a ona patrzy na mnie. Podchodzę do drzwi, zamykam.

Wyciągam hajs z kieszeni. Odliczam kilka stówek i kładę na stole

– Zdrowa jest? – pytam przeliczając szmal, który mi został.

– Trochę kaszle ostatnio, ale zdrowa, wszystko w porządku.

Odliczam jeszcze dwa byki i dokładam do tych na stole.

– Kup jej jakieś leki i ubrania.

Sobie też coś kup. Nie mówię tego na głos.

Siadam w fotelu a Sala klęka przede mną. Biorę pilot do ręki, a ona wyciąga mojego ptaka, trochę grzebiąc się z rozporkiem.

– Zostaw – mówię. – Idź do niej.

Sala wstaje i idzie.

– Czekaj, wróć tutaj.

Zawraca w drzwiach.

Siada mi na kolanach. Dopiero teraz na nią patrzę. Zaglądam.

– Kiedy był ostatnio?

– Był, przychodzi – odpowiada Sala – często, dzwoni czasem.

Głaszczę ją po głowie. Mimowolnie zgina się w karku i przymyka oczy. Sprawia jej to przyjemność. To. Nie głaskanie. Zastanawiam się, kiedy ostatnio czuła się jak kobieta.

Podnoszę się z fotela, Sala odskakuje kilka kroków.

– Idę się odlać, spokojnie.

W lustrze twarz. Moja. Jeszcze. Na całej szerokości białe kropki z pasty do zębów. Moczę papier i przecieram na mokro, później na sucho. Przeglądam się jeszcze raz w czystym, a ten w lustrze dalej jest mną.

Sala jest w sypialni. Siadam ponownie w fotelu. Gdy wraca, wskakuje mi na kolana. Łapię ją za włosy i ściągam na dół. Tym razem radzi sobie z rozporkiem. Moja miedziana rurka wysunęła się z brzucha do granic. Mam jeden z tych wzwodów, przy których to Ziemia kręci się wokół mojej główki. Przyciągam ją do krocza dłońmi, staram się skorzystać z tak potężnego ujścia krwi. Odchyła się ledwo łapiąc oddech, nitka śliny łączy ją z moim ptakiem. Nie dając uspokoić tętna ponownie przyciskam do krocza jej twarz, tym razem z całej siły, a ta, nie mogąc nic zrobić, zaczyna się dławić. Wyrzywa się z moich rąk, kaszle, po chwili wyciera ślinę z twarzy. Oczy jej łzawią, makijaż spływa po policzku. Patrzy na

mnie i się uśmiecha. Podnoszę się. Podnoszę też Salę, i rzucam na łóżko. Ustawiam jej głowę tak, aby zwisała w dół. Wkładam go prosto w usta, a dłonie lądują na piersiach. Wkładam i wyciągam, na początku powoli, po chwili mocniej, i szybko, i coraz szybciej. Doskonale pierdolić się twarzą. Jeszcze lepiej jak z martwą żoną, podczas jej wiecznego snu.

Kończę w środku.

Przykładam dłoń do jej twarzy i rozcieram ślinę, która zalała jej odbicie. W połączeniu z makijażem tworzą czarną, wielką maź, nie ma w jej rysach nic z kobiety, jej zarys zanikł, jakby nagły błysk zmył z jej duszy kontur. Doskonale jest upokarzać. Wycieram chuja w ręcznik i jeszcze raz patrzę na Salę, która nie za bardzo wie co zrobić z kleistą twarzą. Tym samym ręcznikiem wycieram jej policzki. Spod tego wszystkiego wynurza się uśmiech. Podnosi się z łóżka i łapie mnie za zwisającego. Bawi się nim przez chwilę jak gumową pałką.

– Ale jest mały – mówi, nie potrafiąc powstrzymać się od śmiechu.

– Uszło z niego życie.

– Wydawał się większy.

Nie mam ochoty na nauczanie seksualne. Na tłumaczenie rozmiaru. Chowam siusiaka do bokserek, a Salę łapie za gardło i spluwam w pysk. Znowu się uśmiecha. Gardzi mną. zaciska zęby i zaczyna syczeć. Puszczam ją w końcu, a ta rzuca się na mnie z pięściami. Obejmuję ją w taki sposób, aby nie mogła nic zrobić.

– Będę leciał.

– Wiem – odpowiada. – Wpadniesz jutro?

– Pewnie.

Biorę łyka z flaszki i idę. Łapie mnie w przedpokoju i wsuwa coś do kieszeni.

Drzwi się za mną zamykają. Wyjmuję z kieszeni samarkę. *Dzięki Sala!* Rozchylam jej wnętrze, ślinię palec i wkładam do woreczka. To, co się przylepiło wcieram w dziąsła, które od razu drętwieją. Wychodzę z klatki i mogę iść w prawo, i w lewo. Tak też robię, rozchodzę się w dwóch kierunkach jednocześnie.

**

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

stawitzky, dodano 03.05.2018 19:23

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.